

HENRYK SIENKIEWICZ

Z PAMIĘTNIKA
POZNAŃSKIEGO NAUCZYCIELA

NOWELA

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

NIE NOWE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAN — WILNO — ZAKOPANE

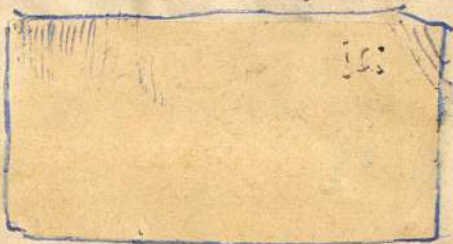
030

11526



GIE
Z PAM
195

Henryk Sienkiewicz, pisząc tę nowelę, miał na myśli szkołę rosyjską w b. Królestwie Polskiem. Z konieczności licząc się jednak z warunkami cenzury, przeniósł akcję opowiadania na teren zaboru pruskiego, gdzie germanizacyjna polityka szkolna również zatrzuwała dusze dzieci polskich. Stąd pochodzi tytuł: „Z pamiętnika *poznańskiego* nauczyciela“, pozostawiony przez wydawców bez zmiany.



SKŁADY GŁÓWNE:

THE POLISH BOOK IMPORTING CO, INC. NEW YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.“ KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1924

Państwowe Seminarium
Nauczycielskie
w Siedlcach
BIBLIOTEKA
Państwowego Seminarium Naucz. Naokolego
Dzieln. Książka JOLITA PILSUDSKIEGO
W SIEDLCACH

....Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie, i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia, pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał mechanicznie konjugacje¹⁾ łacińskie lub greckie z tą jedno-
stajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanji. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpow-
wiał mi: »Nie umiem jeszcze lekcji, panie Wawrzyn-
kiewicz«. Odrabiałem z nim przecie zadania od czwar-
tej do ósmej, a potem od dziewiątej do dwunastej, i sam
nie szedłem do łóżka, nimem się przekonał, że umie
wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo.
Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapomniał pierw-
szej, a konjugacje greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy
różnych powiatów wprowadzały biedną jego głowę
w taki zamęt, że spać nie mógł. Wylaził tedy z pod koł-
dry, zapalał lampę i zasiadał na nowo do stolika. Gdym
go lajał — prosił i płakał. Potem tak już przyzwyczailem
się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mru-
czenia konjugacyj, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie

¹⁾ Konjugacja — odmiana czasowników.

mogłem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się codzień choć jako tako lekcji, bo inaczej usunięłoby go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Marji, która, po śmierci męża zostawszy z dwojgiem sierot, wszystkie nadzieje złożyła w Michaśiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było na to czasu. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się napamięć, tyle do napisania codzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę, potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra, i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych bizantyjskich ¹⁾ tomów, serce mi się poprostu ścisnęło. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumienie i względność, ale niemieccy profesorowie odpowiadali mi tylko, że dziecko psuje i rozpieszczam, że Michaś widocznie niedość pracuje i że beczy z lada powodu. Chory sam jestem na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatrwały. Ja najlepiej wiedziałem, czy Michaś niedość pracuje! Było to dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwale i, przy całej słodocy, taką obdarzone siłą charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie i ślepo był

¹⁾ Bizantyjski — od Bizancjum (Konstantynopol), stolicy Cesarstwa Wschodniego; tu znaczy: wielki, ogromny.

przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa, chora, i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył, to może ją dobić — więc chłopak drżał przed tą myślą i całemi nocami siadywał nad książką, byle tylko matki nie zmartwić. Wybuchał płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Ja go nie psulem, ani rozpieszczęm, tylko go rozumiał lepiej od innych; żem zaś zamiast lajać go za niepowodzenia, starał się pocieszać, to już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i — niech tam diabli wezmą! nawet już zębów nie ścisgam, gdy o tem myślę; nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym latał za gołębiemi po ulicach, lub grywał w pliszki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdrowia i wesołości. Kaszel mnie nie męczył; gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą byłem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Michaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyleby więc wygrał, ileby jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, napłatał figlów i wylatał się na otwartem powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie miałem przed oczyma. Przeciwnie: widziałem dziecko, idące do szkoły i wracające z niej chmurne, zgarbione pod ciężarem książek, wysilone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące ustawicznie jakoby wybuch płaczu — więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek prywatnym, i nie wiem, cobym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek, jaki z niej płynie. Myślę tylko poprostu, że nauka nie powinna być tragedją dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu maleńkich istot.

Myślę także, że pedagogja lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę, prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę, przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Taki ze mnie obskurant¹⁾, że pewno już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w niem coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, którego kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem, pierwaj jako guwerner, potem, gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, miałem więc czas przywiązać się do niego. Zresztą czemubym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tem i nigdy wiedzieć nie będzie. Pamiętam, że ja jestem... ot sobie — pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, poprostu pani, na którąbym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi rkońcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszla miotana falą — więc moje życie przywarło do niej. Co ja na to poradzę? a wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła, niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, by-

¹⁾ Obskurant — człowiek nieoświecony, prostak.

11
łem przy śmierci jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swem wdowieństwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędzej moja religja.

Michaś bardzo przypominał matkę. Nieraz, gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to te same delikatne rysy, to samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W usposobieniu matki i dziecka była także wspólność, objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji¹⁾ uczuć i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, subtelnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz, i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że zgóry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca — za dużo kochają.

Rodzina Michasia była niegdyś bardzo zamożną, ale — za dużo kochali.. więc rozmaite burze rozchwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów — miernością. Michaś był ostatnim z rodziny, to też pani Marja kochała go nie tylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem, zwykłym matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec

¹⁾ Egzaltacja — przesadność, skłonność do unoszenia się w pewnym kierunku.

wprawdzie istotnie nie był tępym, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby być skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i, wiedząc o wysokim wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysiłał je na próżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i postanowiłem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którymby dziecku na zle wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tym niezdrowego, i gdyby mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz, to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem ¹⁾, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim drogim chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta. Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczera, dziecinna wesołością i świeciły, jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister, przeładowany książkami i, mrugając na mnie, mówił jeszcze w progu:

¹⁾ Hamlet — bohater tragedji Szekspira pod tymże tytułem.

— Panie Wawrzyńkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografji... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i, zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i, wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył nawpół do mnie, nawpół do siebie samego:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał — zwyczajnie jak w zimie — więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: Z religiji: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O, panie Wawrzyńkiewicz!

I biednemu chłopcu lzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymywać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującemi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michaśowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każe, i nie upierać się przy nocnem siedzeniu. Rozrzuwniony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

— Dobrze, mój złoty panie, będę zdrów, że aż

strach, i stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Marji, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się codzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował; nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i o ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że, gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczyrby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszem, mniej bym się troszczył o niego; ale on prawie żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie, niż pomyślność. Chwile radości i owych *piątek*, o których wspomniałem, rzadkie były na nieszczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

— Dostałeś zły stopień? — pytałem.

— Tak jest!

— Nie umiałeś?

Czasem odpowiedział:

— Nie umiałem, — częściej jednak: — Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus¹⁾ z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nian

¹⁾ Prymus — pierwszy uczeń.

uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje zle stopnie, że się nie umie... wyjezyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy, wypłakawszy się, siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwojonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ścisnął głowę obu rękami i milczał: egzaltowany¹⁾ chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się poprostu w kole błędnem, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, pociemku wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Nim go na tem złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalonemi ścianami. Nie miałem innej rady, tylko wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał, i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam wkońcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko straciło siły, chudło, żółkło i zasępiało się coraz bardziej. Czasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykładał mu historję, którą »Stryj synowcom opowiedział«²⁾, co na żądanie pani Marji robiłem codziennie, Michaś

¹⁾ Egzaltowany — skłonny do przesady, do unoszenia się w jakimś kierunku.

²⁾ t. j. historję Polski J. Lelewela.

zerwał się z zaiskrzonymi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

— Panie, więc to nie bajka? bo...

— Bo co, Michasiu? — pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi, zacisnął zęby, a wkońcu wybuchnął płaczem tak namiętym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badalem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które raniły jego uczucia. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic, prócz niechęci do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyna tak uczciwy, jak Michaś, odczuwał je boleśniej, a nie śmiał zaprzeczać. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białem, cnem, ukochanem, druga naznaczała piętnem strupieszenia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tem rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne; musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; — dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota,

niepukój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wąta postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie, biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej oplakany. Listy pani Marji, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemienia.

»Bóg cię obdarzył, Michasiu, niezwyklei zdolnościami — pisała matka — ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą«.

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za rękę spazmatycznie i, zanosząc się od płaczu, począł powtarzać:

— Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz, co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków, i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczać?

Nadeszły czasy rekreacji¹⁾ na Wszystkich Świętych; cenzura kwartalna wcale była nieszczególna: z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zakłęcia, nie posłałem jej pani Marji.

— Drogi panie! — wołał, złożywшы ręce — mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko ludziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, ludziłem się i ja. Są-

¹⁾ Rekreacje — odpoczynek świąteczny.

dzilem, że wdroży się w rutynę¹⁾ szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede wszystkim, że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawnobym pisał do pani Marji i przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych, Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od *gaudeo*²⁾ czas przeszły jest: *gavisus sum*, a wiedział dlatego, że, dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: »cieszę się«. Myślałem, że chłopak zwarzuje ze szczęścia. Napisał do matki list, zachynający się od słów:

»Mamusiu najdroższa! czy ukochana moja wie, jak jest *perfectum*³⁾ od *gaudeo*? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem«.

Michaś poprostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne *perfecta* i *participia*⁴⁾. Utrzymywać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna liczba przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. Michaś i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennem i nie obrobili

¹⁾ Rutyna — obycie się z jakąś pracą lub przedmiotem; zdobycie w czemś wprawy.

²⁾ Gaudeo — cieszę się (łac.).

³⁾ Perfectum — czas przeszły dokonany (łac.).

⁴⁾ Participium — imiesłów (łac.).

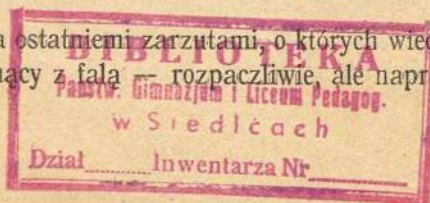
go. Owickiemu to uszło, bo, jako prymusa, nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganę w szkole, wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczano oczywiście, że zataił umyślnie przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma, szeptał, myśląc, że go nie słyszę: »Boli! boli! boli!« List od matki, który nadszedł nazajutrz rano, i w którym pani Marja obsypywała Michasia pieczytami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem.

— O, sprawię mamie ładną pociechę! — wołał, zakrywwszy twarz dłońmi.

Następnego dnia, gdy mu zarzucił na plecy tor-nister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Do-stał go za lekcję, którą umiał doskonale, ale wedle tego, co mówił Owicki, załął się i nie mógł słowa przemówić. Utwierdziła się o nim stanowczo opinia, że był to chlo-piec przesiąknięty »wstecznymi zasadami i instynktami«, tępy i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył jak tonący z falą — rozpaczliwie, ale napróżno.



Wkońcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysiłki i praca nadaremna, że musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesina, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieogłębny, każdy list kończył słowami:

»Michaś tedy niech pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności«. Pamiętał, pamiętał aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał żalonym głosem: »Mamo! mamom!« — jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżyło się szybko, i co do cenzury nie można się było ludzić. Napisałem do pani Marii, chcąc ją o tem uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że dziecko jest słabowite, a przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady, i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przede wszystkim wmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczulem, że jej miłość własna macierzyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała, jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla niego każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że, cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje, i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wypłakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Płacząc, powtarzał: »Ile ja ma-

nie sprawiam zmartwienia!« Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę i małą Lole, i Zalesin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki, i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka dla niego miała twarz swojską, nie obcą i odpychającą; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego święt, jak zbawienia, i liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz nowe przynosiły zgryzoty. Zdawało się, iż wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Michaś dostał, jako *demoralizujący* innych, znów publiczną naganę. Było to już przed samemi świętami, więc tem więcej miało znaczenia. Jak wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wrażliwy — nie podejmuję się opisać; co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed oczyma widział, zamiast światła — ciemność. Giał się też, jak kłos pod wiatrem. Wkońcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz poprostu tragiczny; wyglądał tak, jakby go za gardło dusił ustawicznie płacz, i jakby gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami oczy jego patrzyły, jak oczy cierpiącego ptaka; potem opanowało go dziwne zamyślenie i senność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne a głos powolny. Stał się niezwykle cichy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdym mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał się, jak dawniej, ale brał czapkę i szedł w milczeniu. Byłbym nawet kontent, gdyby to było zubożenie, alem widział, że pod jego

pozorem kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacja¹⁾. Siadywał przy lekcjach, odrabiał zadania, jak i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia. Znać było, że, powtarzając mechanicznie konjugacje, myślał o czym innym, albo raczej nie myślał o niczem. Raz, gdym się go spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim powolnym głosem i jakby sennie: »Ja myślę, panie, że to się na nic nie zdało«. Bałem się wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie przepełniać tego kielicha gorczy, z którego piły jego dziecięce wargi.

Coraz bardziej także niepokoiłem się o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i wkońcu stał się prawie przeźroczysty. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz stale. Wypiękniał tak, że zrobił się prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żal było patrzeć na tę główkę dziecinną, nawpół anielską, która sprawiała wrażenie wędnącego kwiatu. Napozór niby nic mu nie było, ale niknął i tracił siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich książek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, resztę sam nosilem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina czekały od dwóch dni, a list pani Marji, który przyszedł wraz z niemi, zapowiadał, iż nas tam wszyscy wyglądają z niecierpliwością. »Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie — kończyła pani Marja — nie spodziewam się już celujących, chciałabym tylko, by i nauczyciele twoi myśleli tak, jak ja, że uczyniłeś wszystko, co było w twej

¹⁾ Rezygnacja — spuszczenie się na los.

mocy, i że dobrem sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy».

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym względem, więc cenzura zawiodła i to oczekiwanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się wprost sprawowania chłopca, o którym pani Marja miała także odmienne pojęcie. W opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawiało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z »polskiego zacofania«, języka i tradycji. Skutkiem takich pojęć etycznych¹⁾, Michaś, jako nie dający widoków, by mógł na przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a zabierający napróżno miejsce innym, został usunięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wieczorem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg bardzo obfity padał na dworze, więcem nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w nim i bezmyślnie w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które nakształt tych płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wołałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam kwadrans w przykrem milczeniu, a tymczasem ściemniło się prawie zupełnie. Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

— Co tam robisz, Michasiu?

— Prawda — odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie — że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

¹⁾ Etyczny — moralny.

— Być może. Czemu ci tak głos drży? czyś nie chory?

— Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno.

Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając, patrzałem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie, jak żdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czem było można.

— Ciepłej ci teraz?

— O tak! głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa, miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swemi wąskimi piersiami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem, że także czułem się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Otworzyłem oczy, i serce mi zabiło niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli: policzki jego pałały, oczy były przymknięte, jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę wtył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

— *Conjunctivus: Amem, ames, amet, amemus, ametis...*¹⁾.

— Michasiu!

— *Conjunctivus: Amem, ames...*

Szarpnąłem go za ramię:

— Michasiu!

¹⁾ Tryb łączący: kochałbym, kochałbyś, kochałby, kochałibymy, kochałibyscie... (łac.).

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

— Co ty robisz? co tobie, dziecko?

— Panie — odrzekł, uśmiechając się — powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zanieśłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie jak ogniem. Na szczęście doktor mieszkał w tym samym domu, sprowadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował się długo namyślać. Chwilę potrzyzymał puls dziecka, potem rękę położył mu na czole: Michaś miał zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić.

Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depeszę do pani Marji, i na drugi dzień dzwonek, targnięty gwałtownie w przedpokoju, zwiastował mi jej przybycie. Jakoż, otworzywszy drzwi, ujrzałem ją bladą pod czarnym kwefem ¹⁾ jak płótno; palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na mojem ramieniu, i cała dusza wybiegła do oczu, utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

— Żyje?

— Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem. Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za ręce. Dopiero gdy mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim

¹⁾ Kwef — przezroczysta zasłona na twarz.

twarz. Myśl jego natężyła się widocznie, walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi, a wkońcu wargi jego wyszeptaly:

— Mama!...

Ona chwyciła go za obie ręce i przesiedziała tak przy nim kilka godzin, nie zrzucawszy nawet podróżnego ubrania. Dopiero, gdy zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

— Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusza.

Gdy go zdjęła, serce ścisnęło mi się dziwnem uczuciem: oto między blond włosami, zdobiącemi tę młodą, piękną głowę, świeżyły gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i podawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się. Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze Śpiewów Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie. Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył się w sekrecie ministrantury, chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę — i teraz dreszcz mię przejmował, gdy w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie, powtarzające przed śmiercią jednostajnym, gasnącym głosem: *Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!*¹⁾.

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne wrażenie robiły te słowa. Była to wigilja Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonków

¹⁾ Boże mój, czemuś mię opuścił i czemu smutny odchodzę, gdy krzywdzi mnie nieprzyjaciół (łac.).

przy sankach. Miasto przybierało powierzchowność świąteczną i radosną. Gdy się ściemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę, jarzącą się od świeczek, pozawieszaną złotemi i srebrnemi błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecięce jasne i ciemne, z lokami rozwianemi w powietrzu, skaczące, jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia. Między głosami, dochodzącymi z ulicy, nie było innych tylko wesole, i radość stawała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał, jakby z żalością wielką: *Deus meus, Deus meus, quare me repulisti?*¹⁾ Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką, i wkrótce doszedł nas ich śpiew: »W żłobie leży, któż pobieży«. Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech czasem ustawał zupełnie. Nie było się co ludzić! Ta mała dusza była już nawpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność, i nie widział już nikogo i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała jak martwa na jego nogach. Zobojętniał i nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskiecie życia. Ręce dziecka, leżące na koldrze, rysowały się już na niej z tą ciężką bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech coraz był szybszy, a wkońcu stał się podobny do szeptu zegarka.

¹⁾ Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? (łac.).

Chwila jeszcze, jedno westchnienie i ostatnie ziarnko piasku miało się zsypać z klepsydry¹⁾: miał być koniec.

Koło północy zdawało się nam stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć, jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Marji zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsennie, i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i, położywszy się na sienniku, usnąłem. Obudził mnie głos pani Marji. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: »Michasiu! Michasiu!« Włosy mi na głowie powstały, gdym zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; nim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę, i dygoczącymi wargami wyszeptała:
— Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszkę, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężłość wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś umarł.

Nakryłem go koldrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Marję. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do

¹⁾ Dawny przyrząd do mierzenia czasu zapomocą piasku, przesypującego się z jednego naczynia w drugie.

pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdląta, gdy ludzie przyszedli brać miarę na trumnę, potem gdy zaczęto ubierać ciało, na koniec gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywykłej do takich widoków, i przechodziła prawie w obłęd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atlasem, bredząc, jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundur i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy wkońcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań, zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczała światła dziennego, a żółty migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej reakcji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może te małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi. Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał się jak i oni pod ciężarem tornistra, przeładowanego niemieckimi książkami, dostawał złe stopnie, odbierał połajania i nagrody publiczne, każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub ucho; a teraz leżał taki

wyższy od nich, uroczysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą — i nawet Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącąc się łokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet »Herr Inspektor«¹⁾ przyszedł, to onby się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechnąłby się tak samo spokojnie, że on tam zupełnie, zupełnie może robić, co mu się podoba, hałasować, jak zechce, i mówić do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szepcąc, zbliżali się do szeregu świateł i odstawiali wieczny odpoczynek Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarz, gdzie grudki piasku, pomieszane ze śniegiem, wkrótce ją skryły przed memi oczyma... na zawsze...

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku, za wcześniej uwiędły! Nie wiem gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz więcej, że mu coraz ciężiej, samotniej, wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś...

¹⁾ Pan Inspektor (niem.).